

ZESZYTY JAGIELLOŃSKIE

PISMO UCZNIÓW, NAUCZYCIELI I PRZYJACIÓŁ
LO im. KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIELŁY W PŁOCKU
NR 30, KWIECIEŃ 2009, EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Mariusz Sepioto



*Biedak z Queens Street
i inne opowiadania*

W numerze 30. „Zeszytów Jagiellońskich”

zamieszczamy trzy opowiadania

Mariusza Sepiolo

ucznia klasy IIIc naszego liceum, tegorocznego maturzysty

Opowiadania pochodzą z ostatnich miesięcy

**Zeszyty Jagiellońskie. Pismo Uczniów, Nauczycieli i Przyjaciół Liceum
Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagielly w Płocku**
Redakcja: ul. 3 Maja 4, 09 – 402 Płock; <http://www.jagiellonka.plock.pl>;
(024) 364-59-20; lwjszkola@jagiellonka.plock.pl;
Opiekun zespołu: mgr Wiesław Kopeć.
Zespół redakcyjny: uczniowie klasy IIIa.

OPERACJA WALKIRIA

- Jest pan człowiekiem, którego potrzebujemy. – oświadczył generał Olbricht, wręczając Clausowi czarną teczkę, opatrzoną odręcznym tytułem „Operacja Walkiria”. Jak szybko domyślił się Claus hrabia von Stauffenberg, teczka musiała zawierać dokładny, rozpisany na każdą minutę plan, który miał przynieść wielką zmianę dla III Rzeszy i Europy. W pokoju przy Bendlerstrasse w Berlinie dało się wyczuć atmosferę podniosłości. W małym gabinecie na trzecim piętrze, którego adres był najpilniej strzeżoną tajemnicą wśród spiskowców, siedzieli przy obitych zielonym materiałem biurkach trzej mężczyźni, paląc cygara i popijając wytrawne Grenache. Byli to gen. Friedrich Olbricht, płk. Werner von Haeften oraz nowy członek tajnego komitetu – Claus Stauffenberg.

- Proszę słuchać mnie uważnie, panie pułkowniku. – zwrócił się do Stauffenberga generał. – Plan na dzisiejszy wieczór powinien być panu dobrze znany. Mam pana za człowieka odpowiedzialnego i roztropnego, dlatego nie przypominam o przymusie przestrzegania bezpieczeństwa, po wyjściu z tego gabinetu.

- Rozumiem generale – odparł Stauffenberg. – po zamknięciu drzwi do tego pomieszczenia udam się niezwłocznie w kierunku mojej kwatery. Tam, po zamknięciu drzwi i odcięciu linii telefonicznej, otworzę teczkę i przejrzę jej zawartość.

- Doskonale pułkowniku. Przejdźmy zatem do meritum. Jesteśmy tu dlatego, że łączy nas jedna idea, czy się nie mylę?

- Skądże, generale.

- Podobno idee najczęściej wpędzają ludzi do grobu... Ale ufam, że przychodząc tu i odbierając sygnały, które już dużo wcześniej do pana docierały, wiedział pan, że działanie, którego się podejmujemy, może przynieść nam śmierć. Niech pan pamięta, panie pułkowniku, śmierć nie będzie w tym przypadku karą. Będzie konsekwencją. – tu generał Olbricht zrobił większy łyk wytrawnego Grenache. – Jeśli natomiast nasza operacja się powiedzie - ciągnął Olbricht. - spełnimy do końca obowiązki wobec Niemiec. My ten kraj uwolnimy.

- Może pan na mnie liczyć, panie generale. Jestem gotów. – rzekł Stauffenberg i cofnął się do elegancko wyściełanej sofy. Tym razem, pogrążając swą twarz w mroku.

- Tak też myślałem, panie pułkowniku. Historia o nas nie zapomni, to jedyny profit w przypadku porażki. Przejdźmy jednak do omówienia planu, który przyjdzie nam realizować w przypadku zwycięstwa. – generał wstał i utykając, przeszedł obok Stauffenberga w kierunku okna, którego pod żadnym warunkiem nie mógł otworzyć. Na zniszczonych ulicach wrzało; domorośli rewolucjoniści już przyłączali się do Stalina. Był rok 1944 i wszystko miało się wkrótce rozwiązać. Generał kontynuował:

- Pierwszym problemem będzie przejęcie kontroli nad Wehrmachtem oraz zdobycie sojusznika wśród aliantów. Jest to zadanie trudne, ale wykonalne. Jego realizacją mają zająć się oficerowie, podlegający bezpośrednio mi i pułkownikowi Haeftenowi. – tu Haeften skinął nieznacznie głową w kierunku Stauffenberga. – Kolejnym etapem jest natomiast likwidacja SS, co nie powinno sprawić większych kłopotów. Oficerowie SS zostaną osądzeni i skazani już według nowego prawa, prawa

Republiki Niemiec. Następnie należy utworzyć rządy wojskowe, ale to już nie nasze zadanie.

- Doskonale rozumiem, *herr General*. – powiedział Stauffenberg i zwrócił się do Haefтена: - Mam nadzieję, że nasza współpraca będzie owocna i przyniesie temu narodowi upragnioną wolność. W imię wolnych Niemiec! – po tych słowach pułkownik uściśnął ręce obu oficerów i opuścił gabinet przy Bendlerstrasse. W Berlinie zbierało się na burzę.

* * *

Stauffenberg siedział teraz przy swoim biurku i palił kolejnego papierosa. W drżącej ręce trzymał kilka dokumentów, urzeczywistniających coś, co dotąd było jedynie ideą. „Idee szybko wpędzają do grobu” – słowa generała Olbrichta kołatały się teraz w głowie Clausa. Próbował je zagłuszyć i skupić się na roli, którą czytany plan mu przypisywał. Claus von Stauffenberg czytał dokładny plan zamachu na fuhrera III Rzeszy, Adolfa Hitlera.

Rola jaką miał odegrać, była ogromna. To on, według dokumentu, miał być tym, który podłoży bombę w pobliżu Hitlera i zgładzi go na wieki. Teraz od pułkownika Stauffenberga i jego zimnej krwi zależy, czy Niemcy odzyskają wolność. Myśli pułkownika przerwał głośny grzmot, burza znajdowała się dokładnie nad Berlinem. „Burza nad Berlinem” pomyślał Claus i uśmiechnął się do siebie, bo zabrzmiało tak jak tytuł dobrego kryminału, opowiadającego o zamachu na Hitlera. Lecz to nie jest kryminał, a Stauffenberg nie jest jego autorem. Jest raczej autorem klęski fuhrera. Plan mógł wypalić, to był ten moment.

* * *

Nazajutrz, generał Olbricht, płk Haefтен i płk Stauffenberg spotkali się w tym samym miejscu o 10 rano. Ustalono ostateczny dokładny przebieg akcji. Stauffenberg wiedział, który oficer jest spiskowcem, znał wszystkich, którzy będą mu ułatwiać jak najbliższe dojście do fuhrera. Płk Haefтен został zaopatrzony w szybki samochód, którym wraz ze Stauffenbergiem ewakuują się z bazy po dokonaniu zamachu. Obaj oficerowie wiedzieli, że strażnicy, stojący w bramie, pozwolą przejechać zamachowcom, po czym niezwłocznie zamkną przejazd. Ostatnia komenda generała, głośne i pełne pasji „Nasz czas nadszedł” i Stauffenberg mógł rozpocząć dzieło. Dzieło przywrócenia normalności.

* * *

O godzinie 9.20 następnego dnia, płk Stauffenberg znajdował się na pokładzie samolotu łączącego Berlin z Rastenburgiem, kwaterą główną. Miał ze sobą teczkę, w której znajdowały się liczne notatki z informacjami na temat sytuacji na frontach. Ponadto teczka zawierała kilogramową bombę z heksanitu i cukierki mleczne, z najlepszej cukierni w Berlinie.

- Jak samopoczucie, *herr Stauffenberg*? Trzęsie co? – spytał kpt. Hans von Klemcke, mało znaczący oficer, podróżujący do Rastenburgu, w celu spotkania Wodza. Dotąd von Klemcke widział go tylko podczas długich i pasjonujących wieców, na placu głównym w Berlinie, oczywiście nocą, przy blasku świec. Pytanie

skierowane do Stauffenberga było tylko grzecznością, przymusem. W samolocie panował nastrój, odpowiadający w dużym stopniu nastrojowi społecznemu. Kompletne przygnębienie, w którym trudno zdobyć się na uprzejmość. A jednak.

- Dziękuję, bardzo dobrze. Z reguły loty nie działają na mnie negatywnie, ten zaś podziela, na co bardzo liczę, dalece pozytywnie. – von Klemcke odwdzieczył się gorzkim uśmiechem i powrócił do lektury „Ulissesa” Jamesa Joyce’a. „Podziwiam” - pomyślał z pogardą Stauffenberg, być może dlatego, iż sam nigdy nie przebrnął przez tę powieść. Von Klemcke natomiast znów poczuł chęć zajęcia czasu rozmową z pułkownikiem.

- No, panie pułkowniku – zawołał, odrywając się od książki. – długo nasza Rzesza nie pożyje. – słowa te wywołały konsternację wśród pasażerów „Fryderyka Wilhelma”, którymi byli w większości najwyżsi oficerowie Wehrmachtu, zmierzający na spotkanie z Hitlerem. Klemcke najwyraźniej poczuł wzrok współpasażerów na swoich plecach i na dobre pograżył się w lekturze.

* * *

Po wejściu do pierwszego budynku kwatery, w którym znajdował się pokój odpraw, Stauffenberg od razu zauważył stojącego przy lewym boku feldmarszałka Keitela, generała Becka, człowieka, który po udanym zamachu na fuhrera miał podjąć się misji rozbrojenia SS w Berlinie i przygotowania żołnierzy Wehrmachtu na złamanie przysięgi, którą składali narodowosocjalistycznemu przywódcy. Beck spojrzał w kierunku Stauffenberga, poruszył się lekko i głośno przełknął ślinę. Był jednym ze spiskowców, a jednocześnie współpracownikiem fuhrera.

Po krótkiej wymianie spojrzeń pułkownik odszedł do przedsiönka, który prowadził już tylko do drewnianego baraku. To tam znajdował się Hitler. Wraz ze Stauffenbergiem szedł ramię w ramię Haeften. Bał się, tak samo zresztą jak Stauffenberg. Za kilkanaście minut miało nastąpić wydarzenie, które diametralnie odmieni życie ich i całego narodu. Są tylko dwa wyjścia: powodzenie misji i wolność dla Niemiec, albo odkrycie przez kogoś z asystentów Hitlera zawartości walizki i niechybna śmierć przez rozstrzelanie. Stauffenberg nie był gotowy na śmierć, bał się, ale tak samo jak nie wycofywał się z pola bitwy, tak teraz nie mógł uciec z miejsca, w którym ma się dokonać historyczny przełom. To nie będzie zwykłe zabójstwo, zwykły zamach; to będzie zakończenie pewnego ciemnego rozdziału, zamknięcie. I to on, Claus von Stauffenberg, ostatni zgasi światło.

Przedsiönek prowadził na tyły wielkiego hangaru, opatrzonego wielkim znakiem „B”, któremu towarzyszyła ogromna swastyka. Po wyjściu na swego rodzaju dziedziniec, Stauffenberg zachłannie łąpał powietrze.

Do baraku, w którym odbywała się właśnie narada na najwyższym szczeblu, było jakieś 20 metrów. Stauffenberg spojrzał na Haeftena. Był blady i często przetykał ślinę, schylając przy tym głowę, co przypominało nerwowy tik. Widok poważnego i doświadczonego oficera Wehrmachtu, który przeżywa katusze w drodze na najważniejszą misję swojego życia, paraliżował Stauffenberga. Ale na rozterki duchowe zwyczajnie nie było teraz czasu. Nie teraz, kiedy wszystko jest już dopięte na ostatni guzik. W torbie Stauffenberga zaszeleściły wyborne, trudne do zdobycia w stolicy III Rzeszy, cukierki mleczne.

Od kilku minut nikt nie stawał na drodze dwóch oficerów z Berlina, nikt ich nie zatrzymał, nikt nie sprawdzał zawartości teczki Stauffenberga. Po drodze z hangaru

Stauffenberg i Haeften widzieli ludzi, którzy z uwagą im się przyglądali, a na skinienie głową Stauffenberga, odpowiadali tym samym. Był to znak dla pułkownika, że na tym terenie są jego sprzymierzeńcy. Pracują tu od kilku lat i od kilku lat wiedzą o planowanej akcji. Słyszeli o nieudanych zamachach na Hitlera, znają też zawartość teczek, w której rozpisany jest plan płk Stauffenberga. Czekają już długo i liczą, że w końcu misja zostanie zrealizowana. Jednocześnie liczą na łut szczęścia i ewentualne niedopatrzenie sztabu Hitlera, by w razie niepowodzenia akcji, nie zostali oskarżeni i rozstrzelani. Gen. Olbricht oraz płk. Stauffenberg wiedzieli jednak dokładnie, że Hitler urządzi wtedy czystki. Pozbędzie się nawet ulubionego psa, jeśli uzna go za spiskowca.

Stauffenberg stali tymczasem już przed drzwiami pokoju odpraw. Słyszeli podniesione głosy i co chwilę ochrypli głos fuhrera, prawiącego o jakiejś ważnej bitwie. Wymienili spojrzenia, Claus uruchomił licznik i ruszyli. Stauffenberg nacisnął klamkę.

* * *

W pokoju panował półmrok; pomieszczenie to nie miało okien, co Stauffenberg poczytał jako dobry zwiastun. Jeśli Hitler nie zostanie rozerwany na strzępy, to na pewno się udusi.

Przy stole, na którym rozłożona została wielka mapa Europy, stali w skupieniu, ramię przy ramieniu, sztabowcy Hitlera, najbliżsi współpracownicy z kwatery w Rastenburgu. Najniżej schylał się Hitler i marszcząc brwi, przyglądał się jakiemuś zakreślonemu czerwonym kolorem punktowi na mapie. Postać fuhrera nie robiła takiego wrażenia jak podczas wieców, którymi Hitler porywał tłumy Niemców. Hitler był dużo niższy niż 5 lat temu, kiedy rozpętał to piekło. Jego sylwetka była zgarbiona, głowa chowała się w szerokich ramionach. Znana całemu światu grzywka bezładnie opadała na pomarszczone czoło, a starannie pielęgnowany dotąd wąsik pokrywał się lekką siwizną. Co chwila fuhrer sięgał do kieszeni brązowego munduru i wyciągał małą fiolkę, z której wysypywał na drżącą dłoń, kilka małych tabletek. Połykał je szybkim ruchem i natychmiast wracał do czerwonego punktu na mapie. Stauffenberg zdał sobie sprawę, że za chwilę dokona zamachu nie na wodza wielkiej III Rzeszy, ale na schorowanego, zgarbionego starca.

Mimo to stanął sztywno po lewej stronie Hitlera i lekkim ruchem, bezszelestnie opuścił skórzaną teczkę na podłogę. Próbował znaleźć wzrokiem Haeftena, który znikł zaraz po wejściu do baraku. W końcu dostrzegł go; Haeften miał zadanie rozmawiania z oficerami, w celu odciągnięcia ich uwagi od czynności Stauffenberga. Stał teraz w towarzystwie trzech mundurowych, z którymi namiętnie o czymś dyskutował. Teraz zostały może 2, 3 minuty. Stauffenberg pomyślał, że plan na pewno się powiedzie.

- Panie pułkowniku, czy to pańska teczka, tam pod stołem? – z prawej strony Stauffenberg usłyszał pytanie, zadane przez zaufanego współpracownika Adolfa Hitlera, gen. Fromma. Pytanie, którego nie przewidział, i które uderzyło go jak młot. Poczul, że staje się blady, a pot występuje mu na czoło. Pułkownik zauważył kilka spojrzeń wlepionych w niego, w tym spojrzenie Hitlera.

- Teczka, hm, jaka teczka? – Stauffenberg rozejrzał się nerwowo i po chwili, niczym doświadczony aktor stwierdził: - Ta teczka należy do płk Haeftena. Panie pułkowniku, pamięta pan, że już w samolocie zostawił pan ją na siedzeniu, po czym bezmyślnie wysiadł. To ja musiałem nosić za panem teczkę... - Haeften pobladł. –

Proszę o niej pamiętać, bo w końcu zmarnują się te pana wyborne cukierki od Bitter & Zart, które pan w niej nosi! – Stauffenberg uśmiechnął się komicznie i rzucił wzrokiem na obecnych. Hitler już dawno przestał go obserwować, a reszta, na czele z czujnym Frommem, powróciła teraz do układania strategii. Stauffenberg powrócił z tamtego świata, a wraz z nim Haeften, który 10 sekund temu zaczął się modlić.

Teraz została oficerom tylko minuta. Stauffenberg podszedł do Haeftena i spokojnym głosem rzucił coś w rodzaju „poproszę na słówko”. Oficerowie wyszli z baraku i głęboko odetchnęli, po czym jak najszybciej udali się w stronę hangaru oznaczonego dużym, frontowym napisem „B”.

* * *

Płk Stauffenberg oraz płk Haeften niemal bieгли, pokonując kręte korytarze, łączące przedsiónek z hangarem. Wychodząc na główny plac, usłyszeli coś w rodzaju grzmotu, jaki zwykle towarzyszy burzom w rejonie Rastenburgu. Tym razem nie było to jednak uderzenie pioruna. Burza nad Rastenburgiem tego dnia rozpuściła się dopiero późnym wieczorem.

* * *

Trzy godziny później, Stauffenberg był już w Berlinie. Mknął teraz samochodem do gabinetu na Bendlerstrasse. Stauffenberg miał w głowie cały plan, który będzie trzeba zrealizować. Wystarczy teraz nadać komunikat do wszystkich obywateli: fuhrer nie żyje, SS przestanie wkrótce istnieć, jesteśmy teraz obywatelami Republiki Federalnej Niemiec. W gabinecie przy Bendlerstrasse czeka na Stauffenberga radiostacja, z której nadana zostanie specjalna wiadomość dla wolnego kraju.

Stauffenberg wyskoczył z samochodu i szybko wbiegł na trzecie piętro budynku. Zapomniał o tym, by za każdym razem, kiedy pojawia się na berlińskim chodniku, uważnie oglądać się za siebie. Czuł entuzjazm i podniecenie, które zawsze towarzyszy uczuciu dobrze spełnionego zadania. Stauffenberg stał już pod drzwiami numer 5. Czuł radość na myśl, że zapuka i przywita go generał Olbricht, dziękując i gratulując odwagi. Otrzeźwiał jednak, kiedy zobaczył, że drzwi pokoju nr 5 są otwarte i lekko uchylone. Cienki snop popołudniowego słońca padał na ciemny korytarz budynku przy Bendlerstrasse.

* * *

Tymczasem, o godzinie 11, w kwaterze głównej w Rastenburgu, panowało wielkie zamieszanie. Nieliczni uważali, że wybuch, który wstrząsnął okolicą był jedynie nieszczęśliwym wypadkiem, wybuchem gazu lub czymś podobnym. Ale w pokoju odpraw nie było przecież gazu, ani innych materiałów grożących wybuchem. Lotem błyskawicy rozeszła się wieść o zamachu na fuhrera.

Kwaterna główna wrzała. Panował w niej straszliwy chaos, co chwila podnoszono i zrywano umocnienia. Podwajano strażę, by za chwilę zwolnić wartowników, bo przecież teraz nikt nie czuwał nad żołnierzami. Z dobrze zorganizowanej grupy, najlepszych, najbardziej zasłużonych oficerów, członkowie Wehrmachtu stali się zbiegowiskiem.

* * *

Kwadrans po 11 samolotem startującym pośpiesznie z bazy Rastenburg, a kierującym się na Berlin, leciał gen. Friedrich Fromm. Człowiek, który kilka sekund po dziwnym zniknięciu pułkowników Stauffenberga oraz Haeftena z pokoju odpraw, również opuścił salę. Tym samym przeżył eksplozję, która miała miejsce 10 metrów za jego plecami.

Na kolanach trzymał duży, czarny worek, zawierający sfatygowane, nadpalone dokumenty, z których zachowała się najważniejsza część. Na jej ostatniej stronie widniały czytelne podpisy generała Olbrichta, płk Stauffenberga i Haeftena. Generał Fromm nie był pewien jednej rzeczy, ale po konsultacjach ze sztabowcami z Rastenburgu, stwierdził, iż adresem, zapisanym na odwrocie kartki jest Bendlerstrasse 51, w Berlinie.

W tym samym czasie, na podniszczonych noszach, dwaj rośli, aryjscy sanitariusze, nieśli w kierunku szpitala człowieka, który z wybuchu wyszedł niemal bez szwanku. Sanitariusze dowiedzieli się wkrótce, że życie uratował temu człowiekowi stół, na którym rozłożona była mapa. Mężczyzna ten, analizując mapę, chciał obok jednego, czerwonego punktu na mapie (zapewne jakiejś ważnej bitwy, myśleli sanitariusze) dorysować jeszcze jeden, 10 cm na północ. Musiał przejść na drugą stronę stołu, co niewątpliwie poskutkowało stłumieniem siły wybuchu, gdyż człowiek został osłonięty przez ów stół. Człowiekiem, którego nieśli sanitariusze w celu ogólnego opatrzenia i zabandażowania lewej ręki, był Adolf Hitler.

Jak opowiadał później Franz, jeden z sanitariuszy, fuhrer nieustannie pytał, czy generał Friedrich Fromm podąża już do Berlina. Jego wysłannik dostał bowiem wyraźny rozkaz, który musi wykonać jeszcze tego samego dnia.

* * *

Płk Claus von Stauffenberg stał przed drzwiami numer 5, w domu przy Bendlerstrasse 51 i po raz pierwszy w życiu, nie wiedział co zrobić. Drzwi były uchylone, w środku nie było słyhać głośnych rozmów, odgłosów otwieranego szampana, wiwatowania. W gmachu przy Bendlerstrasse panowała przejmująca cisza.

Stauffenberg chwycił za klamkę i pchnął lekko drzwi. Wkrótce miał dowiedzieć się, że była to jego najgorsza decyzja, jako oficera Wehrmachtu i jako człowieka.

W środku Stauffenberg ujrzał pięciu mężczyzn. Byli to: gen. Olbricht, płk Haeften, dwóch nieznanych mu oficerów i gen. Friedrich Fromm. Być może Stauffenberg nie straciłby w tym momencie zimnej krwi i nie poczułby tego bolesnego, wywołanego strachem ukłucia w sercu, gdyby nie fakt, iż dwaj mężczyźni, gen. Olbricht i płk. Haeften, leżeli na podłodze obok siebie, z małymi, czarnymi dziurkami w głowach, kilka centymetrów ponad prawym oknem.

- *Herr General* – zaczął Stauffenberg - mam nadzieję, że to fatalne nieporozumienie i sprawa szybko zostanie wyjaśniona w naszym gronie. Jestem gotów na rozmowy, zwłaszcza, że stoimy w obliczu tak strasznej tragedii...

- Nikt nie będzie z wami rozmawiał, pułkowniku Stauffenberg, a tym bardziej nie ja. – rzekł twardo Fromm. Stał niewzruszony z wycelowanym w Stauffenberga mauzerem i niewątpliwie nie wyglądał na człowieka, pragnącego prowadzić jakiegokolwiek rozmowy.

- Doprawdy, nie mam pojęcia, co się mogło stać. Co mogło wywołać tak tragiczną sytuację, w której jeden oficer Wehrmachtu celuje w kierunku innego?

BIEDAK Z QUEENS STREET

Nazywam się Hazard Brinckle. To dziwne i niespotykane, zwłaszcza w centralnej Anglii imię, przez całe życie przynosiło mi fale skrajnych odczuć. Na moje nieszczęście większość stanowiły odczucia negatywne. Muszę przyznać: wstyd, lęk, zażenowanie, strach, towarzyszą mi od urodzenia. Kiedy pojawiłem się na tym świecie, sprawiłem nie lada kłopot mojej matce. Ba, od chwili poczęcia stanowiłem dla niej kłopot. Miałem kilka tygodni i zdawałem sobie sprawę, że ten człowiek, który bez przerwy siedzi w starym, zatechłym fotelu, je prażynki i ogląda BBC nie jest do mnie przyjaźnie nastawiony. Niestety, wkrótce zacząłem rozumieć niektóre sprawy, a nawet niektóre słowa. I właśnie pewne słowa, wypowiedziane podczas deszczowego, popołudniowego spaceru po rodzinnym Greenwich, przez osobnika wcześniej znanego mi jako "ten od BBC i fotela", zapadły mi w pamięć na całe życie. "Tatusz cię nie kocha" - to zdanie obija mi się o uszy, wierci dziurę w mózgu, kołacze się w środku jak oszalałe zawsze wtedy, kiedy przychodzi mi pochylić nisko głowę i przyznać się do kolejnej życiowej przegranej.

Ale i tak wszelkie rekordy bije moje dziwaczne imię - Hazard. Zawsze kiedy pytają mnie tylko o nazwisko - gdziekolwiek, w pracy, w urzędzie - cieszę się i jestem dumny. Słowo "Brinckle" wymawiam powoli i pysznie, cieszę się każdą literą i chętnie je powtarzam, jeśli to konieczne. Jeśli natomiast przychodzi mi podać nazwisko pełne, rumienię się, kurczę, zwijam, upycham się w środku i wsysam, znikam, zasłaniam się, chociaż wiem, że wszyscy doskonale widzą jak się męczę zmuszony do obnażenia, do pokazania tego, czego nigdy pokazywać nie powinienem, i co wywoła salwy niepohamowanego śmiechu. Przesadzam? Nie sądzę. Jestem przekonany, że nikt na świecie nie przeżył tylu lat, nosząc tak głupie imię, w tak dziwnej dzielnicy.

Jednak moja aktualna sytuacja nie jest ani głupia, ani śmieszna, ani tym bardziej dziwna. Otóż jest to stan, który dotyka wszystkich, i od którego nikt nie ucieknie. Stan, który przychodzi nagle, bez względu na porę, humor, nazwisko, czy dzielnice. I co z tego, że w niczym się nie zasłużyłem, niczego nie odkryłem? Co z tego, że moje poszukiwania, jeszcze się nie zakończyły? Ten stan nie wybiera i chociaż nikt go nie oczekuje, to przychodzi i niszczy. Teraz przychodzi mi skończyć coś, co było niczym bardzo słaba powieść, ze słabym wstępem, nudnym rozwinięciem, bez punktu kulminacyjnego i bez wyrazistego zakończenia - przychodzi mi umrzeć. Leżę na czymś, co ludzkość nazwała łóżem śmierci i niefortunnie posiadam jeszcze tyle sił i świadomości, by wspominać swoje życie. Ktoś powiedział, że w takich momentach życie przelatuje przed oczami niczym film. Muszę rozczarować tych, którzy nadal w to wierzą. W moim przypadku nie ma żadnego filmu, żadnego tragizmu sytuacji, żadnej rozpacz, przemijania, wielkich słów, modlitw. Jedno, co pozostało mi zrobić przed ostatnim krokiem, to suche rozliczenie z tych jakże dziwnych, dosyć męczących kilkudziesięciu lat; suchy, prosty rachunek, uwzględniający zyski i straty, sukcesy i porażki. Nie jestem zaskoczony - bilans jest ujemny.

Swoją historię zacznę - a jakże - od dzieciństwa. Większość tego czasu spędziłem w domu, stercząc przed oknem mieszkania przy Queens Street; oknem, które wychodziło na gwarne i pełne dzieci podwórko. Patrzyłem na bawiących się kolegów, którzy znali mnie jedynie ze szkoły i z biblioteki, w której przesiadywałem godzinami, w poszukiwaniu uwolnienia od toksycznego, brutalnego domu, i w której wyczytałem

wiele mądrych, choć nigdy nieprzydatnych mi rzeczy. Dlaczego nie bawiłem się z rówieśnikami? Połączenie troski chorobliwie nadopiekuńczej matki ze stanowczością chorobliwie surowego ojca, dawało wymierny efekt w postaci zakompleksionego synka, który bał się przedstawić nowemu koledze, a buty nauczył się zawiązywać w wieku 10 lat. I nigdy nie były to buty do gry w piłkę. Raczej buty ortopedyczne.

Mój ojciec. Nigdy nie uważałem go za swój autorytet, nigdy też nie liczyłem się z jego zdaniem. Dla mnie był jedynie reproduktorem, który wykonał swoje naturalne zadanie spłodzenia syna. Niestety, zadanie to wykonał mimowolnie, a owoc jego trudów okazał się niezwykle mizerny. Dlaczego więc miałbym szanować człowieka, który powołał do życia innego wbrew własnej woli i woli otoczenia, i który nie posiadał tyle odwagi, czy chociaż tyle rozumu, by stawić czoła zadaniu wychowywania lub po prostu elementarnego zainteresowania losami własnego potomka. Owszem, nigdy nie brakowało mi jedzenia, zawsze miałem potrzebne podręczniki, kwestie materialne nie stanowiły problemu. Brakowało mi czegoś więcej. Brakowało mi miłości. Nigdy nie spędziłem ze swoim ojcem więcej niż trzy godziny, nigdy z nim nie wędkowałem, nigdy też nie przyznałem się przed nim do moich uczuć. Mój ojciec zdawał się być obojętnym na wszystko, co go otaczało, nawet na rzeczy, które w jakiś sposób zajmowały mu czas. Telewizja, kapcie, prażynki i wielka pustka. Wielka czarna dziura, która powiększyła się do niewyobrażalnych rozmiarów; której nie zdołał wypełnić nikt, choć prób było wiele. Mój ojciec, chociaż mieszkał pod jednym dachem z dwojgiem ludzi i pracował z kilkudziesięcioma innymi, był samotny jak beański pies. Błąkał się po ulicach opuszczonej miejsciny, zanurzonej we mgle; przejmująca cisza, sprawiała, że dręczył go nieustanny pisk w uszach. Szukał emocjonalnego pożywienia, karmy, która pozwalała mu przetrwać kolejny dzień i znajdował ją. Była cierpka i szara, wręcz niejadalna. Miał jednak świadomość, że mimo jej okropnego smaku, obrzydliwego zapachu, jest mu przeznaczona i to ona daje mu życiową energię. Był szary tak samo jak całe jego pokolenie. Sprawiał wrażenie wtapiania się w tło, wtapiania się w ulubiony fotel. Był beańskim psem.

Bardzo możliwe, że ja odziedziczyłem po nim te cechy, które upodobały go do tego zwierzęcia. To drastyczne mówić o sobie w tak skrajnie negatywny sposób, ale życie nie pozwalało mi się długo zastanawiać i pozostawiało czas na wysnucie jedynie tak ostatecznych wniosków.

Byłem szkolną ciamajdą. Chyba każdy, kto uczęszczał do szkoły zna przypadki takich osobników jak ja. Każda klasa ma swoją własną ciamajdę, swojego własnego błazna. Los tak chciał, że wkrótce po pójściu do szkoły, to ja przejąłem zaszczytną funkcję naczelnego krety. Nie umiałem grać w piłkę w kraju, w którym piłka nożna się narodziła. Nie umiałem biegać w szkole, w której pielęgnuje się tradycje lekkoatletyczne. Cierpiałem na płaskostopie w klasie, w której wykształciło się kilku znanych sportowców. Dotknąłem upokorzeń pod względem mojej fizyczności, ale nigdy, przenigdy nie usłyszałem obelgi na temat mojego intelektu. I tylko to pozwalało mi przetrwać czas szkoły, która kojarzy mi się z nieustanną walką z własnym ciałem oraz z nieokiełznanym pragnieniem pochłaniania wiedzy. Wyrosłem na człowieka fajtlapowatego, ale jednocześnie czytanego, inteligentnego i wykształconego. Ale zanim do tego doszło, minęło kilkanaście tragicznych lat, o których czas opowiedzieć...

Mimo iż na moim dzieciństwie odbiło się piętno ojca – nieojca i szkolnych niepowodzeń, spowodowanych moim fizycznym nieprzystosowaniem, to był w moim wczesnym życiu rejon pozytywny. Była to moja własna, zamknięta przestrzeń, wysoka półka, do której sięgnąć potrafiłem tylko i wyłącznie ja, i do której sięgałem, by zapomnieć o świecie, szarzyźnie środkowej Anglii. Był to czas odnowy, odświeżenia, a wiązał się ze szczególną osobą. W każdą sobotę przychodziłem z wizytą do mojego

dziadka Johnsona. Dziadek Johnson nigdy nie okazał mi gniewu, sprzeciwu, czy nienawiści – od tego trzeba zacząć. Był ostoją ciepłą; jego dom, w którym, jak mówił sam dziadek, mieszkał również duch zmarłej ukochanej babci Cecylii, zawsze pachniał świątecznym ciastem. Ten zapach towarzyszył mi przez całe dorosłe życie, w którym przyszło mierzyć mi się z przeciwnościami losu bez pomocy dziadka. Jedną głupią woń sprawiała, że miękłem. Wtedy dziadek Johnson stawał przede mną i mówił jak zawsze: „Hazard, odwagi.” Wtedy zawsze miałem świadomość samego siebie, własnej historii, której nie stworzył mój ojciec, matka, szkoła, czy nawet ja sam, ale którą wykreował właśnie dziadek Johnson. Szkoda, że świadomość ta zniknęła z chwilą gwałtownego zejścia do parteru, poniżenia, które musiało nastąpić prędzej, czy później. Tak samo jak dziś, kiedy stoję twarzą w twarz ze śmiercią, z czymś, o czym nie rozmawiałem nawet z księdzem, z czymś, o czym wiem tak samo mało, co o sobie samym...

Dziadek był moim jedynym przyjacielem na przestrzeni wielu lat. Jedyny znał moje zmartwienia i odczucia. Wiedział, jaki jest mój stosunek do ojca. Zdawał sobie sprawę, że jego syn nie zakładał rodziny z miłości, ale z poczucia odpowiedzialności. A ta ciążyła na nim przez cały czas i niestety – nie zdołał jej udźwignąć. Pograżył się w sobie tylko znanej niszy, która wypełniała mu cały czas, nie pozostawiając przestrzeni na ludzkie, naturalne odruchy. Dziadek to wszystko rozumiał, tak samo rozumiał mój brak szacunku do Maynarda Brinckle Seniora. Jednocześnie starał się wypełnić lukę, pozostawioną przez moich rodziców, wychował mnie, przekazał mi najważniejsze wartości i uświadomił co do najistotniejszych kwestii. Jest moim drugim ojcem, ojcem przyszywanym, który nad wyraz dobrze rozumie swoją skromną rolę. Dla mnie jego rola nie była skromna. Była ogromna, tworzyła mój światopogląd, kształtowała mnie jako część społeczeństwa i rozpychając się łokciami znalazła dla mnie własny kąt na tym świecie. Kąt, który teraz przychodzi mi opuścić.

Pewnej soboty dziadek Johnson chwycił mnie mocno za rękę i zaprowadził w miejsce, które do dziś było miejscem wyciszenia i skupienia, w którym znajdowałem spokój i chwilowe ukojenie. Zaprowadził mnie na brzeg Tamizy, nieznaną dla mieszkańców Londynu. Wiedziałem to, ponieważ roślinność zachowała się tam doskonale, a w pobliżu nie zauważyłem wydeptanych ścieżek. Świdrująca uszy cisza i potężny, miazdzący spokój, którego nigdy wcześniej i nigdy później nie zaznałem, wywarły na mnie wrażenie niepodobne do żadnego innego. Starałem się czerpać z tej chwili garściami, cieszyłem się, jak to mały dzieciak, który zobaczy coś niezwykłego. Tylko dziadek Johnson jak zawsze z poważną miną stał nieruchomo, patrząc na tafłę wody, jakby zbierając myśli do przemówienia, które za chwilę nastąpi. Przemówienie nie nastąpiło. Wydarzyło się za to coś innego, równie wzniosłego, równie bogatego w emocje. Nie jestem pewien, ale wydają mi się, że śmierć może być wzniosła. Dziadek chwycił się za lewy bok, zgiął w pół i upadł. Kiedy pochyliłem się nad nim, zobaczyłem otwarte usta i szeroko rozwarte oczy. Zobaczyłem przeraźliwy grymas twarzy umierającego człowieka, który chce wypowiedzieć ostatnie słowo, ale jego fizyczność mu na to nie pozwala. Jego mózg jeszcze żyje, ale ciało odmawia posłuszeństwa, bo dopadł je atak serca. W końcu udało mu się wykrzyknąć jedno, dobrze znane mi zdanie, które ja pielęgnowałem w duszy przez całe późniejsze życie: „Hazard, odwagi!”. Zmarł przy boku jedynego powiernika własnej samotności – dwunastoletniego chłopca, który właśnie tracił ostatnią szansę na normalność. Od tego momentu także i sobota była szara.

Szóstego sierpnia przy Washington Avenue

I

Życie w tej dzielnicy Nowego Jorku było szybkie, głośnie i najczęściej – co stało się pod koniec lat 70. prawdziwą plagą – niezbyt długie. Żyj szybko, umrzyj młodo i zostaw po sobie przystojnego trupa – tej zasadzie młodzi mieszkańcy Tramps hołdowali od dzieciństwa. Młodemu chłopcom nauka nie była potrzebna; jedyną książką, którą uznawali, a nawet czytali, była Biblia. Pismo Święte dla młodych, rygorystycznie wychowanych Włochów z Tramps było przede wszystkim spisem twardych zasad, według których należało postępować. Giordano, Vincent, czy Mario – każdy chłopak na wrywki znał fragmenty Starego Testamentu, wzbudzając dumę dziadka, który kiedyś, w trudnych czasach przybył do tego wielkiego kraju za chlebem, założył szanowaną, sycylijską rodzinę, przeżył wojnę, wywołaną między innymi przez niechlebnego krajana Sycylijczyków z Tramps – niejakiego Mussoliniego – i zupełnie przypadkowo, z pucybuta, przerodził się w ojca niezłe prosperującej sycylijskiej mafii, która na ulicach Nowego Jorku radziła sobie o wiele lepiej niż w ojczyźnie.

Ale czasy nie zmieniły się przez następne dwie dekady. Po wojnie, ojcowie założyciele włoskiej emigracji „zarobkowej” we wschodnim Nowym Jorku, zaczęli być *persona non grata* w państwie rozszalałego kapitalizmu, który niechętnie dzielił się zyskiem z pogrążonymi w szemranych interesach Włochami. Wszelkie przedsięwzięcia „biznesowe” należało zakończyć lub po prostu – tak odbywało się to w praktyce – zarejestrować interes legalny. I tak, Don Luigi stał się fryzjerem Luigim, Don Vincenzo kierowcą autobusu, a Don Francesco po prostu odszedł na upragnioną amerykańską emeryturę. Skończyły się lata tłuste i nastały chude. Kult niezwykłego Ala Capone odszedł do lamusa, a sam zainteresowany stał się jedynie bohaterem legend, książek i kiepskich filmów sensacyjnych.

Najgorsze przyszło jednak wraz z pojawieniem się w Tramps – dotąd dzielnicy przeznaczonej tylko i wyłącznie dla „naturalizowanych” Amerykanów – pierwszych, rdzennie amerykańskich rodzin. Była to ludność uboga, przesiedlona z innych dzielnic Nowego Jorku, niepłacąca czynszu, jednym słowem uboga. Uczciwi i porządni Włosi, którzy o swój dobytek dbają bardziej niż o cokolwiek innego i bardziej niż ktokolwiek inny w tym kraju, mogli czuć się zagrożeni. To tak jakby w czasie wojny secesyjnej (o której młody Alessandro dowiedział się na ulicy, słysząc sprzeczkę dwóch, małych Amerykanów, którzy obrzucali się przewiskiem „jankesie!”) z Karoliny Płd. przesiedlić rodzinę tamtejszego generała do stanu Dakota.

Przybysze, bo tak nazywani byli Amerykanie w dzielnicy Tramps, czuli się wyobcowani, mimo że żyli we własnym kraju. Ta sytuacja rodziła konflikty i bunty, przede wszystkim w młodych Amerykanach, którzy rywalizację z „makaroniarzami” traktowali jak wojnę. Młodzi chłopcy, którzy niedawno skończyli szkołę, organizowali się w grupy, zbroili i tworzyli kontakty, których mogła im pozazdrościć nawet sycylijska starszyzna, naturalizowana po wojnie na „porządnych obywateli”. Włosi to jednak bardzo przedsiębiorczy naród. W myśl starej zasady „jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich”, początkujący gangsterzy postanowili zaprzyjaźnić się z rosnącymi w siłę „białasami”. I tak, w wyniku wieloletnich zawirowań i zmian w społeczności biednej, nowojorskiej dzielnicy, powstał gang z Tramps. Proce ustąpiły miejsca pistoletom, nieśmiałe szarpanie dziewczynek zastąpiły gwałty, a Biblię - nowa wiara, że spokój i euforię daje tylko słynna heroina z Tramps.

II

Było upalne lato 1996 roku Szefem gangu z Tramps był wtedy niejaki Mickey Robinson. Mickey słynął z nienaganej fryzury, którą pielęgnował niezliczonymi ilościami brylantyny,

rozprowadzanej przez podreęczny, różowy grzebień, ukryty zawsze w tylnej kieszeni spodni, oraz z jednej, bardzo nieprzyjemnej cechy, którą zrażał do siebie przede wszystkim starszusków z dzielnicy. Mickey lubił strzelać do ludzi – zwłaszcza jeśli się tego nie spodziewają.

Mickey stał na szczycie hierarchii gangu, która wykrystalizowała się na początku lat 90., kiedy to zmarł ostatni ze „starych” przywódców Tramps – Toni Sedano. Życie w Tramps po śmierci Toniego „Selera” zmieniło się na gorsze nawet dla tych, którzy pamiętają czasy powojenne. Na tron wstąpił Mickey, a wraz z nim, pojawiły się zabójstwa, gwałty i jego słynne narkotykowe tripy, podczas których wszyscy chowali się w swoich domach i barykadowali drzwi, aby uchronić się przed najazdem świty Mickiego. Takie odwiedziny zawsze kończyły się źle. Ale nigdy dla Mickiego.

Mickey był człowiekiem bezwzględny; pochodził z patologicznej rodziny Amerykanów. Otrzymał, delikatnie mówiąc, niepełne wychowanie. Znany był ze swoich drastycznych metod nie tylko w Tramps. Cały przestępczy Nowy Jork znał Mickiego; kobieciarza, pijaka, ćpuna i przede wszystkim bezwzględnego psychopata, dla którego nie istniała litość. Od zawsze przyciągał typów tak samo pozbawionych sumienia jak on. Jego najbliższym zaufanym, a jednocześnie człowiekiem, na którym Mickey wyżywał się najrzadziej, był irlandzki imigrant Ray O'Hara. Ray również był słynny wśród ludności zamieszkującej obskurne bloki w Tramps. Słyszał jednak z innego zamiłowania, które wpędzało go powoli do grobu. Można nawet powiedzieć, iż słabość ta kiedyś dosłownie wpędziła go do grobu, który za niespłacenie długów musiał sobie sam wykopać. Ray był namiętnym hazardzistą, uwielbiał ryzyko i adrenalinę; mawiał nawet, że chętnie zagrałby w rosyjską ruletkę, jeśli tylko Mickey by mu na to pozwolił.

Ta dwójka niepodzielnie panowała nad Tramps i okolicami. Mówiło się, że nawet burmistrz Nowego Jorku musiał mieć znajomości z samym Mickim, co było oczywistą nieprawdą, z czasem przekształconą w mit „Mickiego Wszzechmogącego”. Jak już wiadomo, kult Biblii został zastąpiony wśród sycylijskiej młodzieży kultem siły. Dlatego teraz w Tramps liczyła się tylko mafia, tylko Mickey. Młodzi chłopcy chcieli być tacy, jak ich idol; żądali od rodziców takich samych ubrań, poruszali się w ten sam sposób, tak samo przeczesywali mokre od brylantyny włosy. Szczególnym wielbicielem Mickiego był Luca Castellano – potomek Sycylijczyków, który z mlekiem matki wyssał zamiłowanie do interesów nie zawsze zgodnych z prawem. Luca miał dwadzieścia lat, był szczupły, wyglądał bardzo niewinnie i skromnie, co wyróżniało go z grupy wyrostków, z którymi spędzał całe dnie, włócząc się w poszukiwaniu wrażeń i łatwego zarobku. Mimo dosyć nikłej postury miał mocny charakter, bardzo rzadko odczuwał strach, zawsze stawał w obronie swoich „kumpli na śmierć i życie”. Spośród gromady chłopców wyróżniała go jeszcze jedna, ważna cecha – Luca współpracował z Mickim, swoim idolem i idolem tych młodych chłopaków, którzy dzięki temu podziwiali Lucę i uważali go za swojego lidera. Nie mieli wątpliwości, kto przejmie schedę po Mickim.

Luca od zawsze podziwiał szefa gangu z Tramps. Podziwiał go za odwagę, pewność siebie, no i za pieniądze, które wydawał bez zastanowienia. Można nawet powiedzieć, że Luca w pewnym sensie go kochał. Dla biednego chłopaka Mickey był ideałem, mężczyzną zastępującym mu autorytet ojca. Ojca, którego Luca nigdy nie poznał.

Chłopak gromadził informacje o Mickim, wiedział o nim wszystko. Dało to możliwość zbliżenia się do idola i pokazania, że Luca też coś potrafi i może być Mickiemu przydatny. Udało się to w 1994 roku Luca sprawnie i szybko przewiózł powierzoną mu paczkę do dalekiej dzielnicy miasta i wrócił z całą zapłatą. Odtąd Mickey stopniowo wciągał „zdolnego” chłopaka do swojej gry, kreując się na dobrotliwego bossa, ale jednocześnie ukrywając swoje prawdziwe oblicze, którego Luca wolał nie znać. Ważne, że pracował dla Mickiego.

Pewnego lipcowego dnia Luca otrzymał od duetu Mickey – Ray propozycję nie do odrzucenia. Miał uczestniczyć w napadzie na bank przy Washington Avenue. Mickey obiecał, że nie padną strzały, potwierdził to też Ray. Obiecał też coś jeszcze. Jeśli Luca wystawi ich do wiatru, albo pójdzie z tym na policję – skończy w foliowym worku.

I tak rozpoczął się dramat młodego człowieka, którego losy mogły potoczyć się zupełnie inaczej, i który znalazł się w nieodpowiednim miejscu, w nieodpowiednim czasie i w towarzystwie nieodpowiednich ludzi. Choć kto wie, czy ów dramat nie zaczął się już wtedy, kiedy los rzucił Lucę w otchłań ciemnych, nowojorskich ulic, którymi od pięknych czasów prohibicji rządzą zasady ustalane przez mafię.

III

Był sierpień 1996. Żar lał się z nieba, a poczucie chaosu i zmęczenia zwiększały trąbiące nieustannie samochody na zatłoczonej i czarnej od dymu Washington Avenue. Drobnymi biznesmenami stali w kolejkach do sklepów z coca-colą, która tego dnia była jednym z najbardziej pożądanym towarów w mieście. Każdy kto zdobył wreszcie zroszoną kroplami zimnej wody puszkę tego rajskiego napoju, wykonywał niezmiennie te same, rytualne gesty: wydobywanie puszkę z życiodajnego automatu, podniesienie mieniącego się czerwienią przedmiotu do czoła, otarcie pulsujących skroni, szybkie otwarcie puszkę i wykonanie pierwszego łyku. Ostatnia czynność, mimo iż najbardziej przyjemna, łączyła się z inną, nieco bardziej męczącą, ale jednocześnie niezbędną – wyszukaniem w ciasnej kieszeni spodni następnym kilkudziesięciu centów, służących do nabycia kolejnej puszkę, tym razem będącej jedynie wyrazem zwykłej, ludzkiej zachłanności.

Deptak wzdłuż Washington Avenue był dziś niezwykle ruchliwy. Wspomniani biznesmeni torowali sobie drogę czarnymi aktówkami, w których zazwyczaj znajdowało się po prostu drugie śniadanie, wbrew opinii „śmietnikowej” biedoty, która uważała, że takie walizki na pewno kryją w sobie jakieś pilnie strzeżone informacje lub niezliczone pliki pieniędzy. Tak więc przechodzili obok siebie bogacz z biedakiem i mierzyli się wzrokiem pełnym urojonych podejrzeń; biedak na pewno chce bogacza okraść, a bogacz niewątpliwie jest w posiadaniu informacji, które na zawsze odmieniłyby los biedaka i całej Ameryki. W rzeczywistości i bogacz, i biedak pragnęli jednego – schronienia przed morderczym upałem, jakiego obaj dawno nie widzieli w Nowym Jorku.

Jednak w końcu drogi pijaczków i bogaczy rozdzielały się – biedacy zmierzali w kierunku cienia, bogacze w kierunku firm, redakcji, kancelarii, czy banków. Wszystkie te miejsca były niemiłosiernie rozgrzane i pełne spoconych ludzi, co dodatkowo deprymowało nowojorskich biznesmenów. Przed jednym z takich budynków, w tłumie przechodniów w promieniach południowego słońca stali ludzie, którzy nie narzekali ani na upał, ani na tłum. Mickey, Ray i Luca przytupywali nerwowo przed gmachem, w którym mieścił się cel ich dzisiejszej podróży – bank Finance Union. Mickey dał znak i rozpoczęło się to, co wkrótce diametralnie zmieniło życie trzech mieszkańców biednej dzielnicy we wschodnim Nowym Jorku.

Drzwi pomieszczenia otworzył Ray – przy wejściu uderzyło go ciężkie, wilgotne powietrze, które wypełniał słodki niczym coca-cola zapach stłoczonych przy okienkach ludzi. Nic tak nie dodawało animuszu – mawiał Ray – jak mocny zapach przerażonych ludzi. Przypominali wtedy zwierzęta stadne, które w momencie zauważenia niebezpieczeństwa zbijają się w kupę, żeby wkrótce rozbiec się w panice na wszystkie strony. Teraz to Ray jest napastnikiem, a klienci banku zwierzyną. I chociaż celem tego polowania były pieniądze, to przyjemność „zawodową”, jaką czerpał z napadu Ray, było zastraszenie tłumu.

Tuż za szerokimi plecami Raya szedł Mickey – w razie strzału ochroniarza to Ray będzie tarczą „bossa”. Tym razem żadnej ochrony nie było. Pod skórzaną kurtką, zupełnie nie pasującą do aury tego dnia, ale za to idealnie dopasowaną do najnowszych spodni, Mickey trzymał małego colta, wbijającego się teraz boleśnie w żebro szefa gangu z Tramps. Rewolwer był tylko zabezpieczeniem; Mickey ustalił, że rewolwer nie zostanie użyty bez konieczności. Za szefem stąpał ostrożnie Luca, który zastanawiał się teraz, kiedy Mickey uzna, że zaszła owa „konieczność”.

Dokładnie po dwóch krokach od wejścia do banku Mickey, Ray i Luca, również wyposażeni w małe rewolwery, nałożyli skórzane rękawiczki oraz czarne kominiarki na głowy, co wbrew przypuszczeniom Mickiego było błędem. Napastnicy powinieli je założyć przed wejściem. Jedna sekunda nagrania z kamery umieszczonej nad drzwiami, pozwoliła ustalić tożsamość sprawców. Tego Mickey nie przewidział. Nie przewidział też dalszych wypadków, które posypały się lawiną na głowy rabusiów z Tramps.

Do głównego stanowiska podszedł Mickey. Kilkadziesiąt osób, znajdujących się w banku, stało nieruchomo z rękoma w górze na stanowcze polecenie Raya, który teraz uważnie przyglądał się działającemu Mickiemu. Ten, przełykając głośno ślinę, rzucił w kierunku bankowca, który siedział za oddzielnym od przestępcy grubą szybą biurkiem:

- Żadnych gwałtownych ruchów, a nikomu nie stanie się krzywda - pracownik nie wyglądał jednak na przestraszonego. W tej okolicy napady na jego bank zdarzały się częściej, niż myśli ten zbir, który teraz przed nim stoi i wypycha kieszeń palcem, myśląc, że go łatwo wystraszy.

Nic z tych rzeczy. W takich sytuacjach należy zachować spokój i po wstępnym uporaniu się ze stresem (to bankowiec bardzo dobrze pamiętał z kursu „Jak przechytrzyć rabusia”) - wykorzystać mały, czerwony przycisk, ukryty pod blatem biurka i wezwać tym samym najbliższy oddział policji, który wkrótce przejmie kontrolę nad sytuacją. Tak też bankowiec zrobił.

- A teraz posłuchaj mnie bracie – Mickey miał w zwyczaju zwracać się do nieznanym „bracie” - masz tu worek, w który teraz włożysz tyle kasy, ile ten rupieć zmieści. I nic więcej, ok? No, to teraz bracie, masz 60 sekund na pakowanie kasy i zmówienie modlitwy. Znasz modlitwę, trwającą 60 sekund? - zaśmiał się Mickey. Kasjer pozostawał spokojny, jakby nic się nie wydarzyło. Wkładał pieniądze do torby i patrzył prosto w oczy Mickiego. Ten zauważył jednak coś dziwnego, co na chwilę oderwało jego uwagę od kasjera. Na ekranie komputera, a właściwie w odbiciu ekranu w lustrze, znajdującym się za fotelem bankowca, Mickey dostrzegł dziwnie migoczący, czerwony napis. Mickey słabo znał się na komputerach, ale chyba nie był to program do dokonywania przelewów. Mickey stopniowo odczytywał napis, pojawiający się w lustrzanym odbiciu monitora: „eme...”, „emergen...”, „emergency alert”...

W samym tym czasie, wypychając palcami kieszenie skórzanych kurtek, Ray i Luca „celowali” do zakładników, którzy teraz skierowani byli twarzami do szpitalnie białych ścian. Luca był zdenerwowany, ale zachowywał trzeźwość umysłu. Co jakiś czas spoglądał na zakładników, a także na zatłoczoną ulicę, na której przechodnie nie mogli się nawet domyślać, co dzieje się w banku przy Washington Avenue. Zastanawiał się, czy broń, którą ukrywał tak samo jak szef, w bocznej kieszeni kurtki, będzie mu dzisiaj potrzebna. Rozmowa z bankowcem trwała według chłopaka zbyt długo. Luca postanowił spytać szefa, czy wszystko gra z opróżnianiem bankowego sejfu. Podszedł więc powoli do Mickiego, nie spuszczać wzroku z przerażonych klientów banku. Zapytał Mickiego, czy wszystko w porządku, ale ten nie odpowiedział; widocznie był zbyt zajęty swoją ważną rolą, by teraz rozmawiać z „młodym”.

Kiedy Luca podchodził do Mickiego, Ray obserwował szefa i myślał, że szef jest naprawdę dobry w tym, co robi. I albo ma szczęście, albo rzeczywiście jest prawdziwym profesjonalistą. Naprawdę potrafi ustawić sytuację tak, że wszystko idzie po jego myśli, a do tego nikomu nie spada włos z głowy...

W tym momencie budynkiem wstrząsnął strzał. Zakładnicy upadli na kolana, przy czym niemal jednocześnie wydali głuchy jęk przerażenia. Na ziemię upadł także kasjer, wypuszczając z bezwładnych rąk worek z pieniędzmi. Ciężka, ołowiana kula w głowie, bezlitośnie przyciągała go do podłogi.

Deptak przy Washington Avenue nagle opustoszał, a z ulicy dało się słyszeć jedynie głośnie i regularne:

- Jesteście otoczeni. Wyjdźcie z rękoma uniesionymi w górze, a nikomu nie stanie się krzywda!

Megafon policyjny przeszywał gorące powietrze nieznośnym piskiem, kiedy z banku Finance Union wyszli powoli, trzymając ręce w górze trzej mieszkańcy dzielnicy Tramps.

Jeden z nich, młody Włoch, w ręce zaciskał połyskujący w popołudniowym słońcu, mały rewolwer.

IV

Fragment zeznania podejrzanego Michaela Robinsona, Nowy Jork, 6 sierpnia 1996 r., godz. 23:38:

Po pierwsze: jestem niewinny, po drugie: jestem niewinny, po trzecie: jestem niewinny. To nie ja strzelałem do tego biednego chłopaka... W porządku, przyznaję się do uczestnictwa w rabunku, zostałem złapany na gorącym uczynku, ale zapewniam, że to nie ja pociągnąłem za spust. Jestem tylko drobnym złodziejem, nie mordercą. Zresztą sami widzieliście, kto wyszedł z banku z rewolwerem w ręku. Czy ja wyglądam na młodego, szczupłego Włocha? Chyba nie... Ale zacznijmy historię od początku, bo musicie panowie wiedzieć, że to nie ja zaplanowałem ten skok...

Fragment zeznania podejrzanego Raya O'Hary, Nowy Jork, 6 sierpnia 1996 r., godz. 23:50:

Panowie, litości. Czy myślicie, że prosty sprzedawca warzyw z Tramps, mógłby zrobić coś takiego? To nie ja zabiłem tego gnojka z banku! I najlepiej zapiszcie to wielkimi literami w tym waszym notatniku. Przyznaję się tylko do uczestnictwa w napadzie, ale musicie pamiętać – i to też proszę podkreślić – że byłem tylko pomocnikiem tego, który zaplanował ten skok, i który zagroził mi, że mnie zabije, jeśli nie wezmę w tym wszystkim udziału... Tym kimś był ten młody gangster, którego boi się pół miasta – Luca.

Przyszedł do mnie w najmniej odpowiednim momencie. Byłem wtedy świeżo po ślubie, próbowałem stanąć na nogi, ułożyć sobie jakoś życie. Obcym w tym mieście bardzo trudno znaleźć pracę. Mnie też los nie oszczędzał; zatrudniałem się dorywczo na budowach lub w rzeźniach. Bardzo ciężka robota, ale myślę, że znajdowałem w tym coś dla siebie...

W końcu zjawiał się ktoś, kto wyciągnął do mnie pomocną dłoń. Spotkałem go kiedyś w pewnym barze; taka ciemna speluna, ale swojska, schodzili się tam imigranci: Hiszpanie, Włosi, Irlandczycy. Postawił mi dwie kolejki, więc sądziłem, że to porządny człowiek. Wyglądał młodo, ale dzisiaj jestem pewien, że był dużo starszy. Żaden dwudziestolatek nie wchodzi do baru z taką obstawą, nawet w Tramps.

Kiedy byłem już lekko podпиты, zaproponował mi coś, co wtedy było dla mnie i Meggie (tak ma na imię moja żona) jedynym ratunkiem. Powiedział, że w zamian za współpracę pomoże mi otworzyć w pełni legalny biznes. Ok, przyznaję się, obrobiłem wtedy kilku gnojków, ale zapewniam, że nikomu nie stała się krzywda. Wtedy ten Luca dał mi trochę kasy, ja dołożyłem trochę swoich oszczędności i tak powstał mój warzywniak. A właśnie, czy jedliście panowie moje słynne, zielone pomidory?

Fragment zeznania podejrzanego Michaela Robinsona, Nowy Jork, 7 sierpnia 1996 r., godz. 12:54:

... ten skok zaplanował Luca. Ten bandyta opanował całe Tramps i wraz ze swoją świtą, zastraszał uczciwych ludzi w całej dzielnicy. W końcu przyszedł do mnie. Kazał mi siedzieć cicho, groził mojej partnerce. Pytał, czy znam bank Finance Union przy Washington Avenue. Odpowiedziałem, że znam, ale bałem się, jaki będzie dalszy ciąg tej rozmowy. No i moje obawy się sprawdziły. Zaproponował mi, a raczej rozkazał obserwowanie tego banku 24 godziny na dobę. Sterczałem tam całe dni i wpatrywałem się w ten cholerny bank. Pierwszego dnia zauważyłem, że nie ma tam stałej ochrony. Bank wynajmował tylko agencję, która pojawiała się co pół godziny i w dniach dostarczania gotówki do banku.

Myślałem, że na tym skończy się moja współpraca z tym bandytą. Ale myliłem się. Luca powiedział, że kompletuje małą ekipę do napadu na ten bank, że jestem dobry i chce mnie w to wciągnąć. Obiecywał dużo forsy i zero konsekwencji. Zresztą, nie miałem żadnego wyboru. Rozumiecie, z pistoletem przy skroni, decyzje podejmuje się bardzo szybko...

Fragment zeznania podejrzanego Raya O'Hary, Nowy Jork, 7 sierpnia 1996 r., godz. 16.03:

Przed bankiem byliśmy już o 10 rano. Wtedy poznałem Mickiego, człowieka, o którym krążyły legendy. Słyszałem, że jednej nocy potrafił obrobić dziesięć samochodów. Oczywiście trochę się bałem tej znajomości, ale Mickey okazał się porządnym facetem. Długo rozmawialiśmy, co powodowało, że powoli przestawałem się stresować całym tym napadem. To było dobre zagranie ze strony Mickiego – dzięki tej rozmowie zapomniałem, co mnie czeka za niecałą godzinę.

Kiedy wybiła dwunasta, Luca kazał nam założyć kominiarki, skórzane kurtki i rękawiczki. Trochę się zdziwiłem, bo było strasznie gorąco, ale myślałem, że to z pewnością konieczne, skoro Luca tak każe. I było konieczne. Luca wręczył nam małe colty i kazał schować je do lewej kieszeni kurtek. W prawej mieliśmy trzymać dłonie i udawać, że celujemy do ludzi, a w rzeczywistości wypychać tylko kieszeń palcami. Wiecie panowie, jak na filmach gangsterskich.

Mickey, ja i Luca – w takiej kolejności weszliśmy do banku. Pamiętam, że było tam strasznie duszno, chciałem jak najszybciej skończyć tę zabawę. Ale to Luca był szefem. Zapiszcie to drukowanymi: to Luca był szefem.

Fragment zeznania podejrzanego Michaela Robinsona, Nowy Jork, 7 sierpnia 1996 r., godz. 20.50:

To Luca był szefem. Dlatego to on wchodził ostatni, ze względu na własne bezpieczeństwo. Ale nie myślcie, że był tchórzem, o nie. Tchórz nie byłby w stanie z premedytacją zastrzelić niewinnego chłopaka.

Po wejściu zrobiliśmy duży hałas, czym zastraszyliśmy klientów. Ray (ten drugi, którego poznałem dopiero w samochodzie) wydawał komendy, żeby zachować spokój, żeby nie rozmawiać, nie ruszać się, w końcu, żeby ustawić się twarzą do ściany. Kiedy wszyscy byli już posłuszni, Ray zamknął drzwi do banku i wywiesił informację „bank nieczynny”.

Wtedy Luca podszedł do tego biednego chłopaka, siedzącego za szybą. Widziałem, że dzieciak jest przestraszony, panikuje, pomyślałem, że może zrobić coś niekontrolowanego, a wtedy Luca nie zawaha się użyć colta, którego miał ze sobą. Ale okazało się, że ten bandyta nie potrzebował żadnych gwałtownych ruchów chłopaka. Po prostu strzelił.

Fragment zeznania podejrzanego Raya O'Hary, Nowy Jork, 8 sierpnia 1996 r., godz. 11:00:

To ja zająłem się uspokajaniem klientów banku. Nie chcę nazywać ich zakładnikami, to takie obrzydliwe... Kiedy już byli spokojni, Luca przystąpił do działania. Podszedł do głównego stanowiska, przy którym siedział wystraszony, blady chłopiec.

Pamiętam, że zaczęliśmy się z Mickim niecierpliwic; rozmowa Luki z kasjerem miała potrwać parę minut, tymczasem wydawało mi się, że trwa całą wieczność. Zaczęłem się pocić, czułem, że mogę za chwilę zemdleć. Patrzyłem ze zdenerwowaniem na Mickiego, który też nie wyglądał na zadowolonego z przebiegu akcji. Wydawało mi się, że po prostu coś szwankuje: komputer lub sejf. Nie przyszło mi do głowy, że może się stać coś takiego... Nie przewidział tego też sam Luca, nie spodziewał się, że przestraszony chłopak może wezwać policję w tak prosty sposób. Nie wiem jak ten bandyta dowiedział się o tym, co zrobił chłopak, ale jedno jest pewne – bandyci tacy jak on, są zdolni do wszystkiego. Zannotujcie: bandyci, tacy jak on.

Strzał ogłuszył mnie na kilka sekund; przez chwilę nie mogłem zrozumieć, co się stało, czy to policja do nas strzela, czy to ktoś z klientów. Nie pomyślałem nawet, że to Luca...

Fragment zeznania podejrzanego Michaela Robinsona, Nowy Jork, 8 sierpnia 1996 r., godz. 15:45:

Szyba, za którą leżał martwy chłopiec, była cała we krwi. Z colta, z którego strzelał Luca, wciąż wydobywał się niebieski dym. Myślę, że sam Luca był przez chwilę zszokowany

tym, co się stało. Ale uwierzcie mi, że to normalne w takich sytuacjach. Nigdy nie jest tak, jak w filmach akcji, w których zabójca z zimną krwią strzela do człowieka, a potem spokojnie chowa broń i odchodzi. Zwykle morderca, nawet jeśli nie robi tego po raz pierwszy, jest w pierwszych minutach po zbrodni kompletnie rozbity. Tak też zachowywał się Luca. Być może myślał, że my, ja i Ray, przyjdziemy mu z pomocą, weźmiemy całą winę na siebie. Ale mylił się, i to nie po raz pierwszy. Byliśmy świadkami tego, co zrobił, a on sam wiedział, że po tych wszystkich szykanach, po tym, jak bawił się nami i naszymi rodzinami, my uratujemy go z rąk policji. O nie, panowie, może i jesteście złodziejami, ale nie frajerami.

Luca zrozumiał swoje położenie. Opuścił broń i powoli skierował się do drzwi. Szybkim ruchem zerwał wiszącą kartkę „bank nieczynny” i popchnął lewe skrzydło. Byłem pewny, że ja i Ray również musimy poddać się wam, policji. Nie mieliśmy innego wyjścia, a poza tym wiedzieliśmy kto nas namówił do tego czynu i kto zabił tego biednego chłopaka. Pytacie, co zapamiętałem, wychodząc z banku? Płaczących ludzi przy ścianach. Wtedy zrozumiałem, że to, co zrobiliśmy, było naprawdę złe...

Luca wyszedł pierwszy, z rękoma uniesionymi w górze. Poddał się, chociaż wiedzieliśmy, że robi to wbrew sobie. W prawej ręce trzymał colta, którym pozbawił życia tego biedaka.

No, to teraz wiecie wszystko dokładnie, minuta po minucie. Powiedziałem wam całą prawdę, jak na spowiedzi. Mam nadzieję, że ten drań dostanie wysoką karę za to, co zrobił. W takim razie, czy mogę w końcu zadzwonić do mojego adwokata?

Fragment zeznań podejrzanego Luki Castellano, Nowy Jork, 9 sierpnia 1996 r., godz. 22:35:

Nie mam nic na swoją obronę. To ja zastrzeliłem kasjera, przyznaję się. Nie, nie chcę składać dalszych zeznań... To powinno wam wystarczyć, żeby mnie przymknąć. Proszę tylko, pozwólcie mi zadzwonić do matki, na pewno się denerwuje...

V

Szóstego sierpnia dokładnie o godzinie 12:00 w banku przy Washington Avenue Ray O'Hara i Luca Castellano uczestniczyli w napadzie na bank. Zadaniem szefa gangu Mickiego Robinsona było wymuszenie na pracowniku banku gotówki, którą ten miał spakować do przygotowanej torby. Sprawy potoczyły się nie po myśli szefa gangu z Tramps. Odważny chłopak, wkładając pieniądze do worka, ostrożnie uruchomił alarm, sprowadzający na miejsce najbliższy oddział policji. Zauważył to wszystko Mickey. Wpadł w furję i, nie zastanawiając się długo, wyjął z kurtki rewolwer, który skierował w kierunku chłopaka. Padł strzał.

Obok szefa gangu stał Luca, który przypadkowo znalazł się przy głównym stanowisku. Ray, który wciąż stał nieruchomo, patrzył teraz na Mickiego i Lucę i czekał na decyzję szefa. Decyzję podjął jednak Luca.

Luca przypomniał sobie, że od wejścia do banku nie zdjął skórzanych rękawiczek. Popatrzył więc na Mickiego, który odpowiedział mu błagalnym, pełnym dzieciennego niezdecydowania wzrokiem, i wyjął z kieszeni swej kurtki nabitego colta, w którego magazynku lśniło sześć niewykorzystanych pocisków i podał go Mickiemu. Jednocześnie wyrwał z ręki Mickiego narzędzie zbrodni, ściągnął swoją prawą rękawicę i mocno chwycił rękojeść colta, z którego wcześniej padł śmiertelny strzał.

Luca Castellano spokojnie wyszedł z banku i uniósł ręce, w których błyszczały mały rewolwer. Jego ostatnie słowa - „To ja strzelałem” - brzmiały w uszach Mickiego Robinsona głośnym echem, do końca jego spokojnych dni, które spędził w biednej, włoskiej dzielnicy Tramps.

Luty 2009

Koło Młodych Twórców

oraz

Międzyszkolny Klub Myśli Polskiej

w

**Liceum Ogólnokształcącym
im. Władysława Jagiełły w Płocku**

**zapraszają
na zajęcia pozalekcyjne**

**w każdą środę o godz. 17.00 w sali nr 17
na parterze szkoły**

**zajęcia prowadzi wykładowca akademicki
Tomasz Zbrzezny**